

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zas'rzeżone.

5

ROZDZIAŁ III.

„Zwycięstwo“ inspektora Kalchasa.

— Mówi Benares — zaszeptał radjotelegraf urywanym, gorączkowym, błyskawicznym głosem, punktualnie o godzinie 3-ciej, według zachodnio-europejskiego czasu.

Inspektor Kalchas poprawił słuchawki na głowie i pochylił się nad przygotowanym arkuszem papieru. Jego chuda, nerwowa, wypielęgowana dłoń, uzbrojona w ołówek błędziła szybko po biurku, utrwalając tekst szyfrowanej depezy. Na jego wysokim, nieforemnym, kwadratowym czole grały zmarszczki nieuchwytnych wzruszeń. Spięte łuki brwi mówiły o silnym natężeniu uwagi. Świadczyły o nim również drobniutkie kropelki potu, które w miarę pracy wystąpiły na jego szeroko sklepioną łysinę. Baczny obserwator dostrzegłby, jak zwolna, w takt drgań mikrofonu rozpogadzało się jego zasępione oblicze.

Nie musiały być niemiłe wieści, które zakłęte w elektryczne fale, płynęły przez lądy i morza, z świętego miasta brahminów i jogów. Jakiś radosny, gardłowy, urywany dźwięk wyrwał się w pewnej chwili z ust inspektora policji. Zaraz potem odrzucił od siebie ołówek, rozprężył z uwagi oblicze i wyciągnął się wygodnie na krześle, uśmiechając się z zadowoleniem do siebie. Za chwilę zdjął również z głowy słuchawki, pogrążając się w cichej zadumie.

— Więc triumf!... więc zwycięstwo... — powiedział głośno do siebie. Jakoś nie mógł się z tą myślą oswoić. Nie zdążył jeszcze uświadomić sobie jej olbrzymiego znaczenia. Wstrząsająca wiadomość z Benares spadała przecież na niego tak nagle, tak niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba. I właśnie w chwili, gdy już zaczynał tracić zimną krew, gdy go porwało w swe szpony zwątpienie, gdy z głuchem przerażeniem widział, że poczyną się chylić pod ciężarem zadań przerastających nawet jego siły i że poczyną się gubić w labiryncie przerażających zagadek, mogących o szaleństwo przyprowadzić najtrzeźwiejszy umysł...

A teraz nagle ten prosty i prozaiczny epilog... Zwycięstwo?? Największy sukces, jaki notowały od początku świata kryminalistyczne roczniki? Ukoronowanie jego tak świetnej i głośnej kariery? Wspaniałe przypiętowanie pracy jego życia, poświęconego walce z występkiem i zbrodnią?... Zapewne... Ale rzecz dziwna, serce sławnego Kalchasa nie biło radosnym wzruszeniem, gdy uświadamiał sobie wspaniałość swego sukcesu. Nie rozpieierała mu piersi słuszną i uzasadnioną dumą. Przeciwnie... Główny Inspektor „Bezpieczeństwa Publicznego“ w paryskiej prefekturze policji odszukał gdzieś na dnie siebie uczucie dziwnego zawodu. I jakby żalu, że ten fantastyczny dramat, którego był głównym aktorem przecięła w najbardziej wstrząsającym miejscu natrętna i prozaiczna kurtyna.

— Więc to prawda? — zadawał sobie ciągle to samo pytanie. — Więc tajemniczy zbrodniarz, zabójca śpiewaczki Goldoni i akrobaty Silvas nie żyje?! Więc nie żyje ten groźny, niemal legendarny przestępca, który spędzał sen z oczu policji wszystkich mocarstw świata, który wodził za nos olbrzymią armję agentów, który wymykał się ze wszystkich sieci, który wbrew wszystkim przeszkodom dążył nieustępliwie do swego zbrodniczego celu, nieuchwytny, niepoznawalny i nieodgadniony, wyłaniający się z mgły swych tajemnic po to tylko, by śmierć obwieścić ofiarom jak przeznaczenie posępne i nielitościwe?!

Pamiętał Kalchas tę doniosłą chwilę, gdy na balu w ambasadzie włoskiej zdecydował się rzucić rękawicę temu dziwnemu, niemal mistycznemu wrogowi ludzkości, którego potęgi wówczas nawet nie przeczuwał, z którego szatańskich mocy nie zdawał sobie nawet sprawy. Dufny we własne siły, w potęgę swego rozumu, którym rozgryzał nieraz zagadki najbardziej tajemniczych zbrodni, przypuszczał wówczas, że w ciągu kilku tygodni unieszkodliwi mordercę i stanie w poprzek jego zbrodniczemu groźbom i planom. Przysiękł to nawet ambasadorowi, który nazajutrz przysłał mu w podarunku wysadzany brylantami zegarek. Przedwcześnie...

Po raz pierwszy Kalchas, sławny Kalchas, odkrywca złodziei naszyjnika królowej angielskiej, skradzionego na balu w Elizejskim pałacu, pogromca groźnego spisku „Przyjaciół Śmierci“, owego tajemnego związku, który zagrażał istnieniu całej ludzkości, bohater tyłu, tylu innych najgłośniejszych afer, jakie się przewinęły przez salę sądową w ostatnich kilkunastu latach, po raz pierwszy Kalchas nie wywiązał się z danego słowa. Egzotyczny zbrodniarz okazał się godnym partnerem...

Cała straszliwa z nim walka stoi dziś przed oczyma Kalchasa jak żywa... Zbrodniarz wymyka się z najsprytniej zastawionych pułapek, uprzedza najszybsze myśli policji, z błyskawiczną szybkością przerzuca się z miejsca na miejsca, niby zając tropiony przez sforę ogarów, nieledwie dwoi się i troi w oczach, wyłania się jak duch, tam gdzie go nikt nie przeczuwa, niknie, jak zjawą, niemal z rąk policyjnych agentów. A przytem nie cofa się, nie ustępuje. Atakuje raczej. Jak sęp złowroży krąży ciągle w pobliżu upatrzonych ofiar, niewidzialny, wyczuwalny raczej. A potem pierwsza klęska Kalchasa... Ten cichy, bezszelestny strzał, który trafia Blankę Goldoni... I to właśnie w chwili, w tej samej niemal godzinie, gdy Kalchas z rewolwerem w ręku wkraczał na czele agentów do Hotelu pod Koroną w Madrycie, gdzie według raportu zaufanych ludzi, miał się ukrywać Groźny Nieznajomy. A potem ten lekko ironiczny list z ambasady włoskiej, wyrażający współczucie... Jeszcze dziś na wspomnienie tej hańby czuje Kalchas pałacy rumieniec wstydu.

I dalej przebiega myślą te wszystkie bezsenne noce, spędzone tu w tym pokoju, z słuchawkami radiofonu na uszach, czy tubą telefonu w ręce... Tu stąd poruszał całą armję detektywów, czekających na jego skinienie. Wszędzie porozstawiał swych ludzi... Opasał nimi wszystkie części globu. Wszystkie państwa zadeklarowały mu pomoc...

Ale zbrodniarz znikł jak kamień w wodzie... Ucichł, przycisnął się... Przez trzy miesiące nie dał znaku życia... I znów wyłonił się na jedną chwilę, by tu w Paryżu, pod jego bokiem postać cichą śmiercionośną kulę akrobacie z cyrku Medrano... Nawet na kilka godzin przed morderczym czynem uprzedził go cynicznie, odważnie o swoim pobycie w stolicy. I znów zdołał ująć mu z ręki, niemal że mu przeciekł przez palce. Po raz pierwszy wtedy ugiął się Kalchas i zwątpił we własne siły.

Tak, tak, pamięta dobrze ten moment...

Po raz pierwszy wtedy ogarnęła go straszliwa świadomość, że w tym pojedynku gotów przegrać, jeśli nie życie, to przynajmniej całą swą świetną karierę. Po raz pierwszy urósł mu wtedy ów potężny zbrodniarz z Dalekiego Wschodu do nadnaturalnych, mistycznych rozmiarów... I już nie śmiał się tak lekko jak dawniej, gdy nazajutrz czytał poranne dzienniki, piszące o „tajemniczej zagadce“, o „niesamowitem zabarwieniu sprawy“, o „dziwnych, niezbadanych mocach“. Zapewne, że ci dziennikarze, łączący instyktownie tylko tę nową zbrodnię z morderstwem sławnej śpiewaczki, nie wiedzieli właściwie niczego, nie mieli nawet pojęcia, że tu w archiwum Kalchasa, znajduje się już dawno dokładny rysopis zbrodniarza, że tu odkryto już dawno tajemnicę bezgłośnego strzału, i że skupiono niemal wszystkie nici, prowadzące w jasność z ciemnych katakumb zagadek. A jednak nie śmiał się już wtedy Kalchas z ich domysłów, z ich przewidywań i obaw... Bo coś znaczyło to wszystko, gdy nie można było pochwycić zbrodniarza i zapobiedz jego straszliwemu dziełu. Im bardziej były naturalne środki, któremi przestępca sprzątał swe ofiary, im więcej było dowodów, że jest on człowiekiem a nie bezcielesnym duchem, tem bardziej olbrzymiał on w oczach Kalchasa, tem bardziej były mu niezrozumiałe te niepochwytne sposoby, dzięki którym wymykał się on z rąk sprawiedliwości...

Pamiętał Kalchas te długie rozmowy jakie wiódł wtedy z swim przyjacielem i szefem, prefektem p. Dartigne, które za każdym razem kończyły się jednym: „jestem na dobrej drodze, ale...“ i tu następowało zawsze bezradne rozłożenie rąk.

— Niech pan zredaguje przynajmniej jakiś komunikat dla gazet, niech pan zamknie usta tym durniom z dzienników — mówił pan Dartigne. Ale Kalchas sprzeciwiał się stanowczo temu.

— Stracę ostatni atut — mówił. — Jedyną jeszcze szansą powodzenia jest bezwzględna tajemnica działań. Zbrodniarz nie może się nawet domyślać, że wiemy już o nim tak dużo, że posiadamy pewne dokumenta dotyczące się jego osoby. W przeciwnym razie zamaskowałby się jeszcze lepiej, niż teraz, stałby się ostrożniejszy, czujniejszy i mniej zuchwały. Dlatego wobec prasy konieczne jest bezwzględne milczenie. Nawet w policji

poza nami dwoma i poza garstką moich zaufanych agentów nikt nie powinien znać najmniejszych szczegółów z tej sprawy.

I konsekwentnie odpierał Kalchas najazdy reporterów, żądnych informacji, odmawiał wszelkich wyjaśnień, aż prasa znudzona tematem tajemniczego morderstwa, zamilkła, pochłonięta falą aktualniejszych wypadków i zdarzeń...

Ale zato jutro Kalchas obwieści im rewelacyjną wiadomość, którą przed chwilą otrzymał z Benares. Ach! jak to zahuczy i zakołuje w dziennikach... Cały Paryż, cała Francja, cały świat będzie mówić o nim, o Kalchasie... Już widzi te zbite szeregi wierszy, te tysiące wierszy, biegnących równo w wąziutkich szpaltach przez całą długość olbrzymich, czarnych dziennikarskich płacht. Już czyta te krzyczące, pompatyczne, jaskrawe tytuły. A wszędzie Kalchas, Kalchas, Kalchas... „Illustration“ umieści jego podobiznę napewno na tytułowej stronicy...

Więc sława?!... Ale cóż znaczy sława wobec braku samopoczucia zwycięstwa?... A Kalchas nie czuje się zaiste zwycięscą... Bo jakże?!... Ten wielki, genialny, potężny przestępca nagle, po miesiącach zażartej walki, prowaczonej mistrzostwem, z wyrafinowaniem przeciw zmobilizowanemu siom sprawiedliwości społecznej, daje się schwytać w niezręczną pułapkę; sam niemal wpada w ręce policji, pozwala się poprostu zastrzelić jak pierwszy lepszy bandyta. I to właśnie w Benares, na tym terenie, gdzie był najbezpieczniejszy, którego był bezwzględny panem.

Cóż się mu stało u licha? — zadawał sobie Kalchas pytanie. Czuł niesmak w ustach, gdy myślał o tej całej sprawie. Miał uczucie dziwnego zawodu podobnie jak zdolny szachista, który wygrywa trudną partję jedynie dzięki nieuwadze swego przeciwnika.

Skrzypnęły cicho drzwi, zaszeleścił dywan pokrywający podłogę pokoju.

— Kto tam?! — podrzucił się gniewnie Kalchas, wyrwany nagle z zadumy.

— Ach, to ty, kochany Dartigne! — zawołał, szybko podniósłszy się z krzesła i szedł naprzeciw prefekta z wyciągniętymi rękoma. — Wpadasz zawsze cicho i niespodziewaocie jak duch!... Jakby wiedziony przecuciem przychodzisz zawsze w chwili, gdy mi najwięcej potrzeba przyjacielskiej pomocy lub rady... Dzisiaj wprowadzie...

— Cóż dzisiaj?... — przerwał mu rubasnie prefekt, ściskając go za obie dłonie. — Z miny twojej nie widać, by cię gryzło jakieś nowe zmartwienie. Wyglądasz raczej spokojny i zadowolony.

— Właśnie, właśnie — zaszeptał tajemniczo Kalchas. — Otrzymałem przed pół godziną niezwykle pomyślną wiadomość. Domyślasz się w jakiej sprawie?...

— W sprawie Goldoni — Silvas? — Oczywiście... Pewno ktoś z agentów znów doniósł, że znajduje się na tropie mordercy? — pytał bez zapału prefekt.

— Nie, — odpowiedział uroczyście Kalchas — w tej chwili trop mordercy prowadzi już tylko do piekła.

Prefekt spojrzał pytająco na niego, mrugając zdziwionymi oczyma.

— Nie rozumiem — powiedział po pewnej chwili.

— To znaczy, — skandował powoli Kalchas — że morderca Goldoni i akrobaty Silvas nie żyje.

...Nie żyje, został zabity podczas oblawy w Benares — dodał patrząc z uśmiechem na przerażone oblicze prefekta, które nabrzmiało nagle purpurą głębokiego wzruszenia.

— Zwarjowałeś, czy kpisz sobie ze mnie?! — krzyknął nagle Dartigne, z trudem łowiąc oddech i potrząsając silnie ramieniem Kalchasa.

— Nie zwarjowałem, poprostu pół godziny temu otrzymałem od Malteira raport radjofonem... Radjofonem z Benares... No przestań, bo wytrzeszysz ze mnie duszę!...

— Bluff, napewno bluff! Albo poprostu pomyłka! — gorączkował się prefekt.

— Wykluczone, sprawdziłem dobrze, otrzymałem zresztą już przedtem iskrową fotografię trupa...

— Opowiedz, dokładnie opowiedz — sapał prefekt osunawszy się ciężko na fotel. [Na twarzy jego znać było radość, zmieszana z niedowierzaniem.

— Właśnie mam zamiar to zrobić — uśmiechnął się Kalchas, częstując prefekta cygarem i siadając wygodnie naprzeciw w szerokim amerykańskim krześle.

(C. d. n.).